

BYŁ SOBIE KRÓL...

Poczet królów wybieranych

część 1

*Moim kochanym:
żonie Róży i siostrze Renacie*

*Podziękowania dla Pawła Kowal-
skiego za udostępnienie bogatego
księgozbioru
oraz dla Beaty Bogacz za niestru-
dzone szperanie w internecie.*

Mariusz Wollny (tekst)
Zuza Wollny (ilustracje)

—

BYŁ SOBIE KRÓL...
Poczet królów wybieranych
część 1

czyli historia dawnej Polski
dla każdego

wydanie 1

—



—

Kraków 2018

Był sobie król... Poczet królów wybieranych

Copyright © Mariusz Wollny & Zuza Wollny

ISBN 978-83-947673-4-1

Wydawca: JAMA Mariusz Wollny

Kraków 2018

Partnerzy:



Kraków



KRAKOW
UNESCO CITY
OF LITERATURE

Podziękowania dla wszystkich, którzy biorąc udział w sprzedaży internetowej prowadzonej na portalu wspieram.to umożliwili wydanie tej książki, a zwłaszcza sponsorowi wymienionemu na okładce i nadzwyczaj hojnym prywatnym mecenasom:

Jackowi Jąkale, Bartłomiejowi Walczakowi i Waldemarowi Rendzie oraz jak zawsze niezawodnym Helenie Jaskowskiej-Kowalskiej, Ewie i Waldemarowi Tomankiewiczom, Monice i Grzegorzowi Wasowskim.

*Był sobie król, był sobie paż i była też królowa.
Żyli wśród róż, nie znali burz, rzecz najzupełniej pewna.*

(ze starej kołysanki; tekst Janina Porazińska, melodia tradycyjna)

—

Uczeni rzadko, niestety, troszczą się o przekonanie plebsu, że prawda jest piękna, o wiele piękniejsza od fikcji. Pomoc w tym względzie nadciągnąć im może z pogranicza, na którym proza naukowa styka się, a czasem przeplata, z literacką.

Istota różnicy pomiędzy uczonym historykiem, a parającym się historią literatem polega na oględności pierwszego i dochodzącym nieraz do awanturnictwa ryzykanctwie drugiego.

(Paweł Jasienica, *Tylko o historii*)

Drodzy Czytelnicy!

To już trzeci i ostatni tom (w dwóch częściach) naszej opowieści o polskich władcach. W cyklu *Był sobie król...* czytaliście już o królach i książętach z rodzimej dynastii Piastów oraz tych z litewskiego rodu Jagiellonów, a teraz przyszedł czas na monarchów wybieranych, czyli dziwactwo niespotykane w świecie.

Ponieważ znacie poprzednie części, więc nie będę Wam zachwalał tej, bo już wiecie, czego się spodziewać. Bez trudu znajdziecie mądre książki zawierające więcej faktów, bardziej bajkowe bajki, pełniejsze zbiorki legend czy anegdot, ale nigdzie indziej nie znajdziecie tego wszystkiego razem.

Ale po co ja to mówię – przecież to dla Was nie nowina. Zatem – do dzieła!

Autor



KSIEGA PIERWSZA

Pierwsze elekcje

W księdze tej dowiemy się, jak Polacy wybrnęli z trudnej sytuacji, w jakiej postawiła ich bezpotomna śmierć ostatniego Jagiellona. Po wielu sporach zdecydowano się na wolne elekcje, czyli wybieranie przez całą szlachtę nowego władcy po śmierci poprzednika. W ten sposób królowie obieralni stawali się jakby „dożywotnimi prezydentami”. Było to rozwiązanie niespotykane nigdzie indziej, a i później przez nikogo nienaśladowane, bo też, niestety, okazało się wielce niefortunne.

Pierwszymi królami elekcyjnymi zostali Francuz i Węgier, zupełnie do siebie niepodobni nie tylko pochodzeniem. Francuz panował wyjątkowo krótko, Madziar dłużej, ale i tak obaj zmieścili się jeszcze w XVI, czyli dla Polski Złotym Wieku.



O WIELKIM LĘKU



Wybory władcy nie były w Polsce niczym dziwnym. Pomijając legendarnego Piasta, już przecież Jagiellonów niby obierano za każdym razem, choć nigdy nawet młodszy brat nie wstąpił na tron przed starszym.

Zygmunt August, ostatni Jagiellon, bimbając na sprawę następstwa, nie zostawił w tym względzie żadnej wskazówki i umarł sobie beztrząsowo w lipcu 1572 r., pograżając cały kraj w przygnębieniu i trwodze. Kronikarz i świadek tych wydarzeń, Świętosław Orzelski, zanotował: „Wiadomość o śmierci Zygmunta Augusta taki sprawiła zamęt, że nie było prawie nikogo, kto by obecnym niebezpieczeństwem nie rażony i strachem nie przejęty nie rzucił się natychmiast do broni, do konia i wojennego rynsztunku”. Inni dodawali: „Dziwna obawa i troska o losy kraju ogarnęła umysły wszystkich”, albo: „Nowy stan rzeczy przeraził Polskę”.

Prymas Jakub Uchański na wszelki wypadek wywiózł cichaczem skarbiec katedry gnieźnieńskiej do warownego zamku w Uniejowie, a Radziwiłłowie zaczęli knuć, jak oderwać Litwę od Polski.

Kraj ogarnęło wrzenie. Szlachta zbierała się, zawzięcie dyskutowała i radziła. Aby zapobiec rozpasaniu i przestępczości po raz pierwszy na czas *interregnum* (bezkrólewia) powoływano na takich zjazdach sądy doraźne, zwane kapturowymi. Obcym dyplomatom nakazano opuszczenie Polski, aby nie powiększali zamętu.

Najprościej byłoby koronować siostrę zmarłego króla, Annę Jagiellonkę, i dobrać jej potem małżonka, ale królowna miała prawie 50-tkę. Istna bajkowa księżniczka długo uwięziona w wieży, lecz wreszcie uratowana. Tylko że ów ratunek przybył spóźniony o drobne ćwierć wieku.

O BRZYDKIM KACZĄTKU

Miała w życiu pecha Anna Jagiellonka, a i natura obeszcła się z nią po macoszemu. Nie podnosiło jej urody czoło wysokie jak u pradziada Jagiełły (u niego był to wynik łysienia). Na dodatek nie kryło ono żywego umysłu, wprost przeciwnie – wielu uważało, że wręcz kurzy mózdzek. Nie była uzdolniona artystycznie, nie miała wdzięcznej postaci, brakowało jej poczucia humoru, na domiar popadła w dewocję. Za to wyglądała na młodszą co najmniej o 10 lat. Niestety, w jej wieku nie czyniło to wielkiej różnicy. Doprawdy, ze świecą trzeba by szukać większej ofiary losu nie tylko wśród królewien (a bywały w tym gronie dziwadła rozmaite), ale i zwyczajnych panienek.

Zygmunt Stary, pod koniec życia schorowany i bezwolny, nie zdążył wydać za mąż młodszych córek: Zofii, Anny i Katarzyny. Mama Bona i brat Zygmunt byli zaś najpierw zajęci walką między sobą o władzę, a potem własnymi sprawami, więc biedne królowny kwaśniały w staropanieństwie. Do wyjazdu matki z Polski przebywały razem z nią w Warszawie, bo niezbyt czuły brat nie chciał sobie psuć apetytu widokiem ich zmarszczek. W końcu jednak siostry powychodziły za mąż i Anna została sama jak palec. Na pociechę, po raz pierwszy w życiu, mogła sobie sprawić na ślub Katarzyny aż trzy nowe suknie na raz.

Z powodu skąpstwa brata i marnego posagu, nie trafił się Annie żaden poważny starający. Siedziała więc biedula w Warszawie samotna i lekceważona, ponieważ nawet ulubiona karlica Dosieczka odjechała z Katarzyną do Szwecji. Otaczał ją skromny dwór, którym trzęsła herod-baba, ochmistrzyni Żalińska, razem z mężem Maciejem owinąwszy sobie królownę wokół palca. Tuż przed swą śmiercią brat zrobił jej okrutnego psikusa, wykradając z pomocą swoich dworzan piękną dwórkę Annę Zajączkowską z siostrzanego fraucymeru, przez co Anna poczuła się ośmieszona i upokorzona. Rodzeństwo zdążyło się jednak pogodzić, nim Zygmunt ostatecznie zamknął oczy na wieki.

JAK Z BRZYDKIEGO KACZĄTKA WYKLUŁA SIĘ INFANTKA

Po zgonie ostatniego Jagiellona szara myszka niespodziewanie wyszła z cienia i wdrapała się na świecznik, gdyż ogół szlachty, zwłaszcza mazowieckiej, zaczął uważać ostatnią z rodu za dziedziczkę królestwa. I w ten sposób zacna stara panna (acz niewyglądająca na swoje 49 lat), schorowana (groziła jej utrata wzroku, męczyła ją fluksja, czyli opuchnięcie dziąseł, ból zębów i rozmaite inne bóle neuropatyczne, które wymieniła w liście do siostry Zofii:

„kolka, morzenie żywota, krzyża łupanie, żołądka wielkie palenie”), zdziwaczała i niezbyt mądra, została obdarzona mianem Infantki Królestwa Polskiego. Co znaczyło więcej niż w Portugalii i Hiszpanii, gdzie infantami nazywano dzieci królewskie młodsze od następcy tronu.

O względy Infantki zabiegali wszyscy kandydaci do polsko-litewskiego tronu. Zaniepokojeni tym magnaci, którzy dotąd nią pomiatali, wysłali do królowy biskupa kujawskiego Karnkowskiego i wojewodę łęczyckiego Sierakowskiego, którzy wprost zapowiedzieli Annie:

– „Ty nam obierać nie będziesz pana!”

A jednak Infantka nie dała się zahukać. Ukradkiem przyjęła od obrotnego francuskiego biskupa Mon(t)luca malowany konterfekt jego protegowanego i nawet uwierzyła, że dwudziestoparoletni królewicz Henryk zakochał się w niej na zabój. Na próżno natrętni wysłannicy austriaccy próbowali jej zachwalać jeszcze młodszego arcyksięcia Ernesta. Osiągnęli tylko tyle, że wyrzucono ich z Polski.

Ponieważ Anna nie tała swej sympatii, przywiązani do niej Mazurzy też skłonili się ku kandydaturze Francuza. Tak więc Anna z niecierpliwością oczekiwała wyniku elekcji, czując się już jak oblubienica.

JAK KLAMKA ZAPADŁA

Ponieważ z Anny Jagiellonki w żaden sposób nie dało się zrobić drugiej Jadwigi Andegawenki, trzeba było wymyślić inny sposób na obsadzenie tronu. Pomysłów było kilka, w tym wybranie króla przez samych senatorów-magnatów albo elekcja dokonana przez cały sejm, czyli i senatorów i posłów razem. Lecz rozpoczynający właśnie wielką karierę starosta bełski Jan Zamoyski zaczął zachwalać elekcję *viritum* z udziałem wszystkich chętnych szlachciców, nawet najuboższych, w myśl zasady: Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie. Dzięki temu wyrósł na trybuna, czyli przedstawiciela ogółu szlachty. Magnaci, czyli „starsza brać”, sarkali, lecz „młodszej braci” koncept (i pomysłodawca) przypadł do gustu.

W toku zażartych dyskusji i kłótni postanowiono na początek, że odtąd zawsze pierwszy sejm po śmierci starego króla będzie się nazywał konwokacyjnym i ustali się na nim żądania i oczekiwania wobec przyszłego panującego. Bowiem zdawano sobie doskonale sprawę, że oto pojawia się wyśmienita okazja, by na przyszłość związać ręce nowemu królowi i pozbawić go rzeczywistej władzy albo przynajmniej uszczknąć z niej, ile się da.

Zatem na konwokacji w Warszawie w styczniu 1573 r. ustalono, że interrexem (zastępcą władcy na czas bezkrólewia) zawsze już będzie prymas, a elekcje będą wolne, czyli *viritim*. Wyznaczono też miejsce elekcji – Warszawę i termin – 6 kwietnia 1573 r. A pod koniec obrad uchwalono akt Konfederacji Warszawskiej zezwalający (nawet powszechnie nielubianym arianom) na całkowitą swobodę wyznaniową w Polsce i zakazujący prześladowań oraz walk na tle religijnym, co było w ówczesnej Europie przykładem nadzwyczajnej i niespotykanej tolerancji.

Przez następnych kilka miesięcy trwało zgłaszanie kandydatów. Wszystkim stawiano podstawowy warunek – musieli być katolikami. W końcu na placu boju pozostało dwóch największych rywali: Austriak Ernest Habsburg i Francuz Henryk Walezjusz. Na Ernesta większość patrzyła jednak krzywo jako na Niemca, pamiętając o losie bratnich Czechów srogo gnębionych przez Habsburgów i bojąc się wojny z Turcją, sprzymierzoną z Francją i popierającą Henryka.

Na początku kwietnia z całej Polski i Litwy konno i powozami, samopas i z orszakami, szlachta i przedstawiciele miast zaczęli się zjeżdżać na błonie koło wsi Kamień pod Warszawą na prawym brzegu Wisły, dokąd należało się przeprowadzić po niedawno wykończonym (staraniem infantki Anny) moście Jagiellońskim *vel* Warszawskim (opiewał go Jan Kochanowski). W końcu zebrało się 40 000 wyborców, nie licząc służby, gapiów i przekupniów (wszystkich razem było ze 100 000). Jak napisał naoczny świadek: „Zjechało się do Warszawy takie mnóstwo senatorów i ludzi rycerskiego stanu, jakiego nigdy razem na jednym miejscu w tym kraju nie było”.

A Warszawa ówczesna była mała i prowincjonalna, dzisiejszą Starówkę miała owszem schludną i murowaną, ale już przedmieścia wraz z Nowym Miastem – błotniste i drewniane. W mieście brakowało gospód, więc bogaci mieszcianie odstąpili senatorom i ich dworzanom swe kamienice w rynku, a i tak wielmożom przyszło się ścieścić (dopiero później poza murami miejskimi stanęły eleganckie pałace magnackie), zaś ich osobistym kucharzom – pitrasić strawę w naprędce skleconych i ustawionych przed kamienicami kuchniach polowych.

Najliczniej stawiała się miejscowa „zagrodowa” (bo mieli tylko skromne gospodarstwa i sami pracowali na nich jak chłopci) szlachta mazowiecka, słynąca ze swego ubóstwa i przywiązania do wiary katolickiej. Zjawiło się jej aż 10 000, bo raz, że wojewoda mazowiecki Ławski zagroził karami za niestawiennictwo, a dwa – biskup Montluc (Monluc), stojący na czele stronnictwa francuskiego, zapewnił Mazurom darmową wyżerkę i wypłacał po dwa grosze dziennie. Próżno magnaci małopolscy, wśród których było wielu protestantów, pieklili się na tak liczną gromadę wyborców-„chłopów”. Nic nie wskórali, bo przecież mógł przybyć „kto by chciał”.

Na środku pola elekcyjnego, na ogrodzonym parkanem wielkim placu, stał wysoki i ozdobny namiot dla senatorów, zwany szopą, wokół którego ustawiono nieco mniejsze namioty dla prowadzenia narad przez przedstawicieli poszczególnych województw. Poza ogrodzeniem znajdowało się mnóstwo namiotów prywatnych, kramów i bud jarmarcznych. Każdego dnia kłębił się tam nieprzebrany tłum, ale o dziwo draby ze straży marszałkowskiej nie mieli wiele do roboty, choć wbrew zakazowi każdy szlachcic przybył zbrojnie. Za to przestrzegano innego zakazu – spożywania na placu piwa i gorzałki, więc pewnie dlatego nie polała się krew.

Dzień 5 kwietnia wyborcy spędzili na nabożeństwach, każde wyznanie osobno, a następnego dnia odbyło się uroczyste otwarcie sejmu elekcyjnego. Przez następne dni roztrząsano różne ważne sprawy, tymczasem poselstwa obcych państw w imieniu swych kandydatów prowadziły ożywioną agitację, czyli przekonywały do nich wyborców. Następnie wyproszono wszystkie obce delegacje z Warszawy i przystąpiono do ułożenia jakby konstytucji, czyli najważniejszych praw, które potem nazwano artykułami henrykowskimi od imienia pierwszego króla elekcyjnego.

Kiedy już to ustalono, przystąpiono do głosowania, które trwało od 4 do 9 maja. Odbywało się województwami, w imieniu miast wypowiadała się ich reprezentacja. W każdym województwie kierował wyborami senator, który nim oddał głos, najpierw szeroko uzasadniał swój wybór, chcąc po raz ostatni przekonać do swych racji braci szlachecką. Potem każdy szlachcic odciskał swą pieczęć pod nazwiskiem wybranego kandydata, po czym listy przekazywano do senatu do podliczenia.

Już wstępne rachuby wskazywały na zwycięstwo Francuza nad Austriakiem, więc prymas Uchański zawołał:

– „Mamy króla i jest nim książę andegaweński!”

Mazurzy zaczęli podrzucać czapki i hucznie wiwatować na cześć swego faworyta, nazywanego swojsko Henrykiem Gawińskim lub panem Gaweńskim i przezywając jego rywala Ernesta Rdestem albo zgoła Agrestem.

Ale dopiero dwa dni później, 11 maja, prymas oficjalnie ogłosił, że pierwszym wybieranym królem Polski i Litwy został książę francuski Henryk andegaweński z królewskiego rodu de Valois (Walezjuszy). Radości nie było końca, huknęły armatnie salwy. Na koniec wszyscy powędrowali do kolegiaty warszawskiej, gdzie marszałek uroczystie proklamował nowego króla, po czym odbyło się nabożeństwo dziękczynne. Zanim towarzystwo się rozeszło, wyznaczono jeszcze posłów, którzy mieli się udać do Francji po monarchę.

HENRYK WALEZY
1551–1589, król polski 1573–1574



KIEDY HENRYK BYŁ ALEKSANDREM

Od początku xiv w. Francją władali królowie z rodu de Valois (Walezjuszy), bocznej linii poprzedniej dynastii – Kapetyngów. W herbie mieli trzy złote Francuskie Lilie na niebieskim polu. Ponoć żyjący w v w. król Chlodwig chciał mieć w herbie trzy ropuchy, czy też żaby (wiadomo: Francuz – żabojad), ale pewnemu pustelnikowi objawił się anioł z błękitną jak niebo tarczą z trzema lśniącymi jak gwiazdy liliami, i polecił mu zanieść ją królowej Klotyldzie.

Po śmierci sławnego Franciszka I na tron wstąpił jego niezbyt wdały syn Henryk II, żonaty z Włoszką, brzydulą Katarzyną Medycejską. Dlatego Henryk wolał oglądać umalowane liczo podstarzałej, ale wciąż pięknej Diany de Poitiers, niepomny, wstrętny niewdzięcznik, komu zawdzięczał koronę. Wróble na paryskich dachach ćwierkały bowiem, że jego starszemu bratu, prawdziwemu delfinowi (następcy tronu) Ludwikowi, pomogła opuścić ziemski padół Katarzyna, bardzo wprawna w używaniu różnych włoskich trucizn. Widując się z rzadka, para królewska doczekała się jednak aż ośmiorga dzieci, w większości chorowitych. Tylko dwójka rosła zdrowo – Margot (Małgorzata) i jej starszy braciszek, przedostatni z pięciu królewiczów – Aleksander Edward.

Imiona otrzymał po sławnym starożytnym wodzu greckim i po swym ojcu chrzestnym, królu angielskim Edwardzie VI. Urodę zaś odziedziczył po brzydkiej mamie, bo na portrecie, wykonanym gdy miał zaledwie dwa lata, już wygląda jak stary-malutki. Zaciśnięte wargi, czujne i ponure oczka, niezwykle opanowanie i brak cieplejszych uczuć – wykapaną mamusią. Nic więc dziwnego, że był jej pieszczochem i Katarzyna nazywała małego Aleksa „moje oczy” (a jakże!) i „mały orzeł”. Dla niego jednego była czuła,

ubierała go w dziewczęce sukienki (innych synów też, być może dlatego wszyscy byli zniewieściali) i obdarzała pieścizkami, których skąpiła innym pociechom. Aleksander nie cieszył się więc sympatią swego rodzeństwa, szczególnie starszego o ponad rok Karola, wątłego i nerwowego złośnika z napadami furii.

Oprócz niejakich braków w urodzie, po mamie wziął Aleks zamięłowanie do nauki, zwłaszcza że dostał (wraz z Karolem) znakomitego nauczyciela – opata Amyota, niezbyt pobożnego humanistę, miłośnika kultury starożytnych Greków. Zaszczepił on swemu wychowankowi nie tylko sporą wiedzę i kult męstwa, ale też zamięłowanie do korzystania z wszelkich przyjemności życia. Do ulubionych lektur małego Aleksa należały romanse rycerskie, dzieło greckiego pisarza Plutarcha o Aleksandrze Wielkim i wiersze francuskiego poety Franciszka Villona (włóczęgi i pijanicy, autora *Ballady wisielców*, który sam ledwo uniknął powieszenia i stąd był zwany „poetą spod szubienicy”), którego *Wielki testament* umiał ponoć na pamięć. Cenił również książkę Włocha Makiawela *Książkę*, z której dowiedział się, jaki powinien być władca: skryty, podstępny, bezwzględny i skuteczny. Nie gustował za to w modnych wówczas i cenionych do dziś poezjach słynnego ówczesnego poety Ronsarda, choć ten wychodził ze skóry, by w swych (tych gorszych – lizusowskich) wierszach przypodobać się rodzinie panującej.

Na razie jednak marzącego o wielkich czynach królewicza spotykały same przykrości. Francuzi zbierali ciągi od Hiszpanów, zaś gdy Aleks miał zaledwie 8 lat (i od niedawna własny dwór), zginął jego ojciec. Henryk, przypadkowo trafiony kopią w oko podczas turnieju rycerskiego, konał w mękach aż 10 dni, cierpiąc za swe rozliczne grzeszki, nie był bowiem najcnotliwszego charakteru. Tron objął jego najstarszy syn, szesnastoletni Franciszek II.

JAK ALEKSANDER ZOSTAŁ NASTĘPCĄ TRONU

Nastał we Francji czas wielkiego zamętu. Wśród zabobonnego ludu ktoś rozsiewał plotki, jakoby król Franciszek, stale gnębiony bólami głowy i uszu, był chory na trąd i leczył się kąpielami w krwi kilkuletnich dzieci, zupełnie jak osławiony Sinobrody.

Ów okrutnik, znany z bajki pana Perrault, naprawdę żył w XV w. Nazywał się Gilles de Retz lub Rais, a zwano go Barbe-Bleue, czyli Sinobrodym. Był marszałkiem Francji i towarzyszem sławnej Joanny D'Arc, z którą razem walczył z Anglikami, ale z czasem zaczął się parać nekromancją (wywoływaniem duchów zmarłych). Porwał i zamordował ponad setkę

niemowląt i małych dzieci (których krwi potrzebował do praktykowania czarnej magii i alchemii), zanim został stracony za swe zbrodnie. Od czasu Sinobrodego minęło jednak z górą 100 lat i pewnie popadłby w zapomnienie, gdyby ostatni Walezjusze tak bardzo go nie przypominali.

W kraju panoszyli się pochodzący z Lotaryngii książęta de Guise (Gwizjusze), wujowie Marii Stuart, pięknej Szkotki wychowanej we Francji, ukochanej żony Franciszka II. Gwizjusze nadymali się pychą i lekceważyli panujących Walezjuszy, sami bowiem wywodzili się rzekomo od cesarza Franków Karola Wielkiego i chętnie uszczęśliwiliby Francję swym panowaniem. Byli przy tym zagorzałymi katolikami i nienawidzili protestantów-kalwinów, nazywanych we Francji hugenotami. Ci zaś mieli poparcie potężnych portowych miast-twierdz nadatlantyckich, ze sławną La Rochelle (Roszellą) na czele oraz wpływowych arystokratów – wojowniczego konusa, księcia Ludwika de Condé (Kondeusza) i admirała Francji Kasпера de Coligny.

Nieudany spisek hugenotów, usiłujących porwać i obalić Franciszka II, sprawił, że mały Aleks miał okazję podziwiać masowe egzekucje w majestacie prawa i powoli się do nich przyzwyczajać. Kaźni spiskowców, nadzorowanej przez Gwizjuszy, przyglądał się przerażony Franciszek, opanowany Aleksander i zachwycony Karolek, którego nic tak nie bawiło jak dobra masakra. Odtąd takich i podobnych scen mieli królewicze pod dostatkiem, gdyż we Francji rozpętała się okrutna wojna domowa między katolikami a protestantami. A ponieważ zmarł Franciszek (na zapalenie opon mózgowych, co bardzo ucieszyło bogobożnego Kalwina: „Bóg pokarał ojca przez oko, a syna przez ucho”, z którego ciekła mu stale ropa), zaś dużo wcześniej drugi w kolejce Ludwik, więc tron objął Karol IX. Natomiast Aleksander został księciem Orleanu (jako aktualny następca tronu) z tytułem Monsieur. Jako że Karol był małoletni, więc regencję w jego imieniu sprawowała mama Katarzyna, która i potem władzy mu nie oddała.

O NIEUDANYM PORWANIU

Przebiegła Włoszka zaczęła lawirować między zwolennikami dwóch skłóconych wyznań. Sekundował jej w tym sprytny biskup Walencji Jan de Montluc, katolik, ale od czasu do czasu paradujący w stroju pastora.

Zaniepokojeni Gwizjusze postanowili zaszachować Katarzynę, porywając do Lotaryngii małego Aleksandra, uchodzącego za szczerego i wzorowego katolika. Zadanie to powierzyli Jacques'owi de Savoie księciu Nemours.

Imaginacja 1

W październiku 1561 r. Nemoursowi udało się zdybać na osobności małego księcia Orleanu w zamku Saint-Germain-en-Laye. Badając grunt, najpierw spytał ostrożnie, jakiego chłopiec jest wyznania.

– „Takiego jak moja matka” – odparł nie w ciemię bity malec, doskonale pojmując, że w ówczesnej Francji wiara nie była tym, czym dbały o własną skórę dziesięciolatek powinien się chwalić, poza tym nie pamiętał, która religia jest akurat w modzie na królewskim dworze.

To jednak wystarczyło Nemoursowi, który zaczął chłopca przekonywać, jak żarliwą katoliczką jest Katarzyna.

– Monsieur, wasza dostojna mamusia kocha naszą piękną religię katolicką tak wielką miłością jak swego synka i byłaby zachwycona, gdyby jej ukochany syn coś dla niej uczynił..

– Który? – spytał ostrożny Aleks, chcąc zyskać na czasie.

– Jak to, który? – zdziwił się Nemours, który zbyt bystry nie był – Monsieur, oczywiście.

– A dla kogo?

– Jak to, dla kogo?

– Dla matki, czy dla religii katolickiej?

– Cha, cha – zaśmiał się Nemours półgębkiem. – Rezolut z Monsieura! Dla obu: co dobre dla jednej, spodoba się i drugiej.

– A co?

– Co co?

– Co miałbym uczynić?

– Aha! Maman z pewnością byłaby zachwycona, gdyby Monsieur zdołał po cichutku wymknąć się w nocy z zamku przez okno i pozwolił się za-
wieźć do swej siostry Klaudii panującej w Lotaryngii.

– Po co?

– Bo nie raz mówiła mi, jak bardzo jej żal Monsieura, który nie ma z kim się bawić. A w Lotaryngii to dopiero jest życie jak w Madrycie, nie to, co w tutejszym ponurym zamczysku! A ile przygód nas czeka po drodze! Nie wspominając o wspaniałym rumaku hiszpańskim, przygotowanym specjalnie dla Waszej Miłości. A przy tym za jednym zamachem wyrzadzilibyśmy psikusa nieprzyjaciółom naszej wiary oraz dostojnej mamusi Monsieura. No i jak?

– Pomysłę o tym – odparł ostrożny Aleksander, choć pomysł bardzo mu się spodobał, zwłaszcza jeśli mama nie miałaby nic przeciw temu.

– Po co czekać? Ucieknijmy dzisiejszej nocy!

Było to kuszące, ale bystry Aleks dostrzegł to, czego nie zauważył Nemours – cztery pary damskich pantofelków wystające spod wybrzuszenia wielkiego arrasu rozpiętego na ścianie.

– Co nagle, to po diable – odparł na wszelki wypadek, bo choć miał dopiero 10 lat, dobrze wiedział, że na francuskim dworze nic nie jest takie, na jakie wygląda i już od dawna ćwiczył się w sztuce obłudy.

– Tylko na razie sza! Nikomu nie wolno powiedzieć ani słowa, zwłaszcza wielmożnej mamie. To ma być niespodzianka! – przypomniał Nemours na pożegnanie.

A za wielkim arrasem rzeczywiście ukrywały się dwie dwórki Katarzyny (która szpiegowała wszystkich i wszędzie) i dosłyszały część rozmowy, a resztę wyjawiał Aleksander, wzięty na spytki przez Radę Królewską. W zamian dowiedział się, jak sprytnie Nemours chciał go podejść.

Za czym w jego komnacie zamurowano okno i wzmocniono zamkowe strażę. Nie darował nigdy Gwizjuszom tego upokorzenia, bo Nemours uciekł, a oni wszystkiego się wyparli. Mógł sobie za to pogratulować przezości, niezwyklej u zaledwie dziesięcioletka.

JAK ALEKSANDER ZOSTAŁ HENRYKIEM

Obrażony na Gwizjuszy za próbę porwania, mały Aleksander zraził się też do katolicyzmu. Poza tym on i jego królewski brat szybko uczyli się od dorosłych, jak nadać za aktualną religijną modą. Najpierw biegali po Luwrze przebrani za kardynałów, wyśmiewając się z katolicyzmu i świętych pańskich, paląc książeczki do nabożeństwa. Ale katolicy osiągnęli przewagę, zatem od tej pory dzieci królewskie z Aleksandrem na czele cały wolny czas spędzały w kościele na mszach i uczestnicząc w rozmaitych ceremoniach katolickich. Aleks z Karolem dostali nowego nauczyciela – szlachcica z Bretanii Franciszka de Kernevoy, zwanego Carnavaletem. Odtąd książki poszły w ką, a Aleksander do galopu: uczył się konnej jazdy i szermierki (robił w niej duże postępy), polowania i gry w piłkę (prototyp dzisiejszego tenisa i squasha – razem z Karolem uwielbiali w to grać), dobrych manier i tańca. Grał w dworskich przedstawieniach teatralnych (często w kobiecych łaszkach), bawił się na maskaradach i balach, adorował piękne młode damy (podsuwane mu przez mamę, która na takie okazje utrzymywała na dworze cały zastęp „podfruwajek”) i tak wszedł w wiek młodości.

W 1564 r. cały dwór wyruszył na objazd po kraju, bo Katarzyna chciała pokazać synom ich dziedzictwo, a także spotkać się na granicy z córką



Elżbietą, królową Hiszpanii. Były to wielkie wakacje, właśnie taka przygoda, jaką obiecywał Aleksowi Nemours. Chłopcy zobaczyli wówczas wiele ciekawych miejsc, dziwów przyrody (śnieg) i sławnych ludzi, u których gościli, jak astrologa Nostradamusa czy poetę-lizusa Ronsarda. Karolowi i Aleksowi towarzyszył oddany na dwór francuski młodszy od nich kuzyn, protestant Henryk de Bourbon (Burbon) z Królestwa Nawarry, którego nie lubili, mając go za brzydtko pachnącego wieśniaka o prostackich manierach.

Po drodze, w Tuluzie, czternastoletni już Aleksander został bierzmowany i otrzymał imię Henryk, pod którym przeszedł do historii.

NA WOJENNEJ ŚCIEŻCE

Matka coraz bardziej kochała bystrego Henrysia, lekceważąc zupełnie Karola, który miał słaby charakter, był niezrównoważony i wybuchowy, i interesowały go tylko polowania. Henryk zamienił więc nic nieznaczący tytuł księcia Orleanu na prawdziwe panowanie w bogatej prowincji Andegawenii (kraina nad rzeką Loarą) i odtąd nosił tytuł księcia andegawenńskiego (d'Anjou), stając się najzamożniejszym i najpotężniejszym magnatem francuskim. Odtąd przestał udawać, że lubi starszego brata, odmówił mu usługiwania przy myciu i nie chciał grać z nim w piłkę. Znienawidzili się zatem serdecznie.

Otoczył się za to Henryk nowym dworem, złożonym z przystojnych młodzieńców nazywanych potem mignonami, czyli pieszczochami. Ich przywódcą i nieodstępnym towarzyszem księcia został starszy odeń o parę lat zabijaka, hardy i zuchwały Ludwik de Betranger pan Du Guast, który uznawał nad sobą tylko Henryka i nie kłaniał się ani jego młodszemu bratu, ani królowej-matce, o której wyrażał się bardzo pogardliwie. Jego niezdrowa zażyłość z młodym księciem wielu niesłychanie gorszyła. Do faworytów księcia należał również nieco odeń starszy poeta Filip Desportes, zachwycony swym panem i pod niebiosą wysławiający „przebranego wytwornie w kobiece ubiory” Henryka jako swego „Marsa i Wenerę”. Nie wszystkim podobała się taka niemęska przyjaźń między młodzianami, umalowanymi jak kobiety i obwieszonymi biżuterią. Jedyнным rozsądnym towarzyszem Henryka był lekarz Marc Miron, który dość wątpliwie księciu zalecał dużo ćwiczeń fizycznych i zakazał nadużywania wina.

Zarządzanie własnymi dobrami Henryk musiał przerwać, gdy w należących do Hiszpanii Niderlandach (dzisiejsza Belgia i Holandia) wybuchło powstanie, w wyniku którego Holendrzy uzyskali niepodległość. Korzystając z okazji, francuscy protestanci wznowili nieco przygaskłą wojnę domową.

A ponieważ Karol nie miał czasu na nic z wyjątkiem łowów, Henryk został generalnym namiestnikiem królestwa, czyli zastępcą króla.

Wojennego rzemiosła uczył się pod kierunkiem doświadczonego marszałka de Tavannesa, choć niby sam był wodzem naczelnym. W bitwie pod Jarnac osiemnastoletni Henryk (zniewieściał, lecz nie tchórzliwy) błysnął odwagą i bystrą orientacją, osobiście poprowadziwszy brawurową szarżę kawaleryjską, przesądzającą o wyniku bitwy, w której zginął jeden z hugenockich przywódców – czupurny kogucik Ludwik „Mały” Kondeusz. Jeńcom nie dano po bitwie pardonu. Zresztą obie strony prześcigały się w okrucieństwie. Ale Henryk zgodził się wydać rodzinie ciało Kondeusza, czym zaskarbił sobie szacunek hugenotów.

W następnej bitwie, pod Moncontour, znów dzięki jego dzielności wojska królewsko-katolickie odniosły zwycięstwo nad protestantami dowodzonymi przez admirała de Coligny, choć samego Henryka kula armatnia zdmuchnęła z konia. Mimo to wciąż rwał się do boju, a po walce zapobiegł rzezi pokonanych, wołając do swoich:

– „Ratujcie Francuzów!”

Jednak tylko tylu zdołał ocalić, ilu sam mógł uprowadzić z pola bitwy i zastawić własną osobą, taka między prawymi chrześcijanami istniała wówczas nienawiść i żądza mordy. Wkrótce zazdrosny Karol sam stanął na czele wojska i zmarnował osiągnięcia Henryka, po czym podpisał pokój z hugenotami, przyznając im całkowitą wolność wyznania. Admirał de Coligny przybył do Paryża i nadzorował Karola, wyrósłszy na prawdziwego pana królestwa, ku wściekłości Katarzyny.

Do stolicy zjechał też Henryk, wydorosła już i napełniony praktyczniejszą wiedzą niż książkowa. Rzucił się też zaraz w wir intryg i miłostek dworskich, do których popychała go matka. A przy tym, co wówczas działo się na francuskim dworze, Sodoma i Gomora wyglądają na zupełnie przyzwoite miejsca, zaś ówczesny Kraków na miasto aniołów. Szukając mocnych wrażeń, Henryk z (katolicką) bandą zaufanych dworaków włóczył się po ulicach Paryża, pastwiąc się nieludzko nad schwytanymi gamratkami lub wdając się w bójki z podobną (aczkolwiek protestancką) bandą popleczników Karola.

Gdy król i jego brat oraz siostra Margot, nie lepsza od nich (a może nawet bardziej jeszcze zepsuta), zabawiali się w ten i na jeszcze gorsze sposoby, o których aż wstyd mówić, admirał de Coligny, chcąc pomóc holenderskim protestantom, parł do wojny z Hiszpanią, w przeciwnym razie grożąc rozpętaniem na nowo wojny domowej. Wojna z potężną Hiszpanią oznaczała dla Francji samobójstwo, z czego dobrze zdawała sobie sprawę Katarzyna i jej doradcy, a także swawolny Henio.

Idealna okazja pozbycia się admirała nadarzyła się, gdy na ślub z Małgorzatą przybył do Paryża protestancki król Nawarry (leżącej w górach Pirenejach, między Francją a Hiszpanią) Henryk Burbon. Ponieważ nie udało się zgładzić admirała ukradkiem (otrzymał jedynie postrzał w rękę), na dodatek śledztwo ujawniło, że najemnego mordercę nasłała Katarzyna (zamierzała zrzucić winę na Henryka de Guise), trzeba było znaleźć inny sposób.

O KRWAWEJ NOCY ŚW. BARTŁOMIEJA

Na ślub Henryka z Nawarry przybyli nie tylko jego rodacy, ale zjechało się też mnóstwo francuskich protestantów, postanowiono więc za jednym zamachem pozbyć się ich wszystkich, razem z niedostrzelonym admirałem de Coligny. Wieczorem 23 sierpnia królowa-matka zwołała więc Radę Królewską i zdołała przekonać chwiejnego Karola do skazania admirała i jego współwyznawców na śmierć pod zarzutem zdrady stanu. Wyznawała bowiem dewizę: Im więcej martwych, tym mniej wrogów, ciesząc się zasłużonym przydomkiem Madame la Serpente, czyli Pani Żmija.

W majestacie prawa król wydał więc wyrok na swych hugenockich przyjaciół, a jego wykonaniem miały zająć się władze Paryża, aż palące się do tego. Katolikom przewodził główny rywal Walezjuszy do korony francuskiej, młody Henryk Gwizjusz. Dlatego Henryk andegaweński ponoć sprzeciwiał się planowanej rzezi, bo chciał jedynie pozbyć się głównego wicherzyciela – Coligny'ego, a poza tym bardziej od innowierców obawiał się pysznego i ambitnego księcia de Guise. W ostatniej chwili próbował przekonać matkę do odwołania rozkazu, ale było już za późno.

O trzeciej w nocy, już 24 sierpnia, Henryk de Guise polecił bić w dzwony wszystkich kościołów paryskich, sam zaś udał się do domu admirała. Coligny usłyszał bicie dzwonów i domyślił się wszystkiego. Kazał po dachach uciekać służbie, a siepaczy przyjął dłubiąc sobie niedbale w zębach wykałaczką. Mordercy zadali mu kilka ciosów, po czym jeszcze żywego wyrzucili przez okno na ulicę, gdzie czekał Gwizjusz, który butem nadepnął na twarz konającego, po czym kazał mu odciąć głowę i odesłał ją papieżowi Grzegorzowi XIII w prezencie.

W dzień św. Bartłomieja, czyli 24 sierpnia 1572 r., ulicami Paryża spłynęło morze krwi. Tłuszcza paryżan od rana zabijała protestantów z najwyższym zapalem, nie tylko przyjezdnych, ale i własnych sąsiadów. Nie darowano nawet kobietom i dzieciom, które topiono w workach w Sekwanie. Na widok jatek, zupełnie skołowany Karol, który rozumem nigdy nie grzeszył, a zawsze

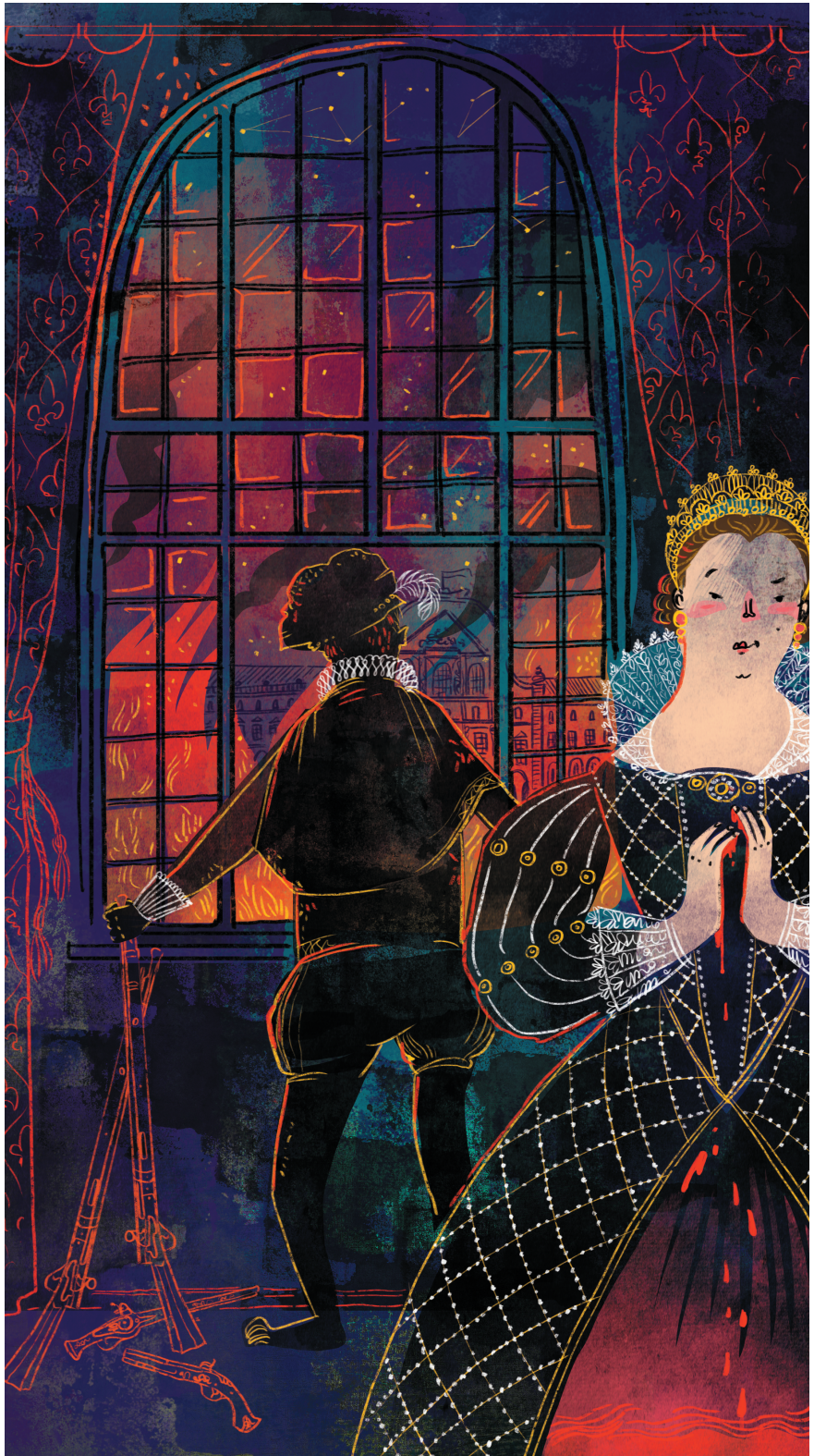
uwielał polowania i widok krwi, zaczął z okna swej komnaty strzelać do szukających schronienia na dziedzińcu Luwru protestantów jak do łownej zwierzyny.

Ocenia się, że w samym Paryżu zginęło 3000 protestantów, a potem kilkanaście tysięcy na prowincji, gdy edykt królewski i tam nakazał urządzić pogromy. Masakrę w dniu św. Bartłomieja nazwano potem „nieszporami paryskimi” na wzór „nieszporów sycylijskich” z 1282 r., kiedy to na Sycylii wymordowano Francuzów, którzy zajęli wyspę. A w ogóle w ówczesnych wojnach domowych na tle religijnym we Francji zginęło, jak obliczono, 9000 duchownych, 33 000 szlachty, ponad 650 000 gminu oraz prostych żołnierzy tudzież 32 000 obcych najemników. Piękny rezultat jak na kraj szczycący się mianem „najstarszej córki Kościoła”.

Za cenę przejścia na katolicyzm ocalał jedynie Henryk nawarski i młody Kondeusz, w którego żonie podkochiwał się Henryk andegaweński. Głównie jego obwiniano za tę zbrodnię, choć w niej nie uczestniczył (odtąd ponoć widok krwi wywoływał w nim wstręt), a największym winowajcą był tryumfujący Henryk Gwizjusz. Katarzyna odzyskała pełnię władzy, podczas gdy Henrykowi andegaweńskiemu, starającemu się właśnie o polską koronę, omal nie pokrzyżowało to planów.

Bowiem w cywilizowanej Polsce panowała wówczas światła tolerancja religijna, więc Polacy (nazywani we Francji barbarzyńcami) nie mieli ochoty tolerować na swoim tronie przedstawiciela narodu zdolnego do podobnego barbarzyństwa, jakim wykazali się Francuzi podczas Nocy św. Bartłomieja. Zwłaszcza że nie było to pierwszy raz, bo nieco wcześniej dzielni i światli paryżanie przeprowadzili próbę generalną – masakrę Włochów, rodaków Katarzyny, „których lud oskarżał o zabicie wielu małych dzieci i wytaczanie z nich krwi; jedni mówili, że miano w niej wykąpać księcia andegaweńskiego dla wyleczenia z pewnej dyskretnej choroby, inni, że królową matkę”. Katarzyna bowiem uprawiała czarną magię (do której od czasów Sinobrodego rzeczywiście używano krwi dziecięcej) oraz wszystkie możliwe przesady, niegodziwości i zbrodnie ówczesznie znane, a kilka nowych sama wymyśliła.

Wysłannika Henryka do Polski, nienawidzącego Habsburgów kulawego, ale przystojnego i bystrego biskupa Jana de Montluca *vel* Monluca wiadomość o rzezi w Noc św. Bartłomieja doszła na francuskiej granicy. Ruszył więc szybciej, aby zdążyć do Warszawy zanim dotrą tam złe wieści, wysyłając do Paryża złośliwy list, że z pogromem można było poczekać przynajmniej do czasu wyborów w Polsce.



Nim Montluc przedarł się przez Niemcy i z licznymi przygodami dotarł do Polski, kandydatura Henryka była już nad Wisłą znana i poważnie brana pod uwagę. A to dzięki temu, że zaraz po śmierci Zygmunta Augusta zjawiło się w Polsce poselstwo francuskie, przysłane przez zapobiegliwą Katarzynę Medycejską, szukającą spokojnego tronu dla ukochanego Henrysia. Wśród wysłanników wodził rej jej nadworny błazen, karzeł Jan Krasowski z Podlasia. Urowadzony ponoć z Polski w dzieciństwie, we Francji zwany „mały Polacron” lub Domino, razem z innym rodakiem, „wielkim Polacre”, zasłynął jako potężny czarownik i zrobił karierę na królewskim dworze, bo Katarzyna Medycejska była bardzo zabobonna. Pośród wielu magów i wróżów trzymała jako doradcę słynnego Michała Nostradamusa, który w 1553 r. przepowiedział, że czterech jej synów będzie nosić koronę.

Podczas pobytu w Polsce Krasowskiemu udało się przeciągnąć na stronę francuską kanclerza wielkiego koronnego Walentego Dembińskiego oraz potężny ród Zborowskich, którzy tak samo jak Waleczusze korzystali z usług dużego banku florenckiego Soderinich. Przysporzył też Henrykowi wielu zwolenników na rodzinnym Podlasiu i sąsiedniej Litwie, a ponoć nawet zdążył spotkać się z kolegą po fachu, Wawrzyńcem Dhurem, czyli słynnym panem Twardowskim.

Na solidnie już przygotowany grunt biskup Montluc obficie rzucał ziarna swej złotoustej wymowy, pod niebiosą wysławiając Henryka, wybielając go, jak tylko się dało i zachwalając liczne zalety, prawdziwe i rzekome. Zagalopowawszy się zapewnił nawet, iż Henryk jest biegłym łacinnikiem. Może głupio mu się zrobiło, że polscy królewicze odbierali lepsze wykształcenie niż francuscy? Zaklinał się też na wszystko, że jego pan nie maczał rąk w rzezi paryskiej.

Ponieważ Montluc doskonale znał wartość propagandy, zatem napisał tekst zachwalający swego pana, kazał go przetłumaczyć na polski jako „list szlachcica polskiego”, odbić w Krakowie i dostarczyć do Warszawy aż półtora tysiąca ulotek. Przywiózł też ze sobą z Francji dwa portrety Henryka, które kazał obwozić po kraju i pokazywać, szczególnie na weselach magnackich. Tak hojnie rzucając ziarno wydało więc piękny plon w postaci zwycięstwa Henryka andegaweńskiego w pierwszej wolnej elekcji w Polsce 11 maja 1573 r., a pięć dni później odbyła się jego uroczysta nominacja na króla Polski i Litwy w katedrze warszawskiej.

Pomogło mu też wymawianie przez prostą szlachtę jego tytułu księcia andegaweńskiego jako pana Gaweńskiego, przez co Henryk od razu zrobił

się dla Polaków bardziej swojski od innych kandydatów. A potem, już jako król Polski, był nazywany nawet nie Walezjuszem, tylko krócej Walezym, bo francuskie de Valois również było dla Polaków za trudne do wymówienia.

Wcześniej jednak Montluc w imieniu Henryka musiał zaprzysiąc trzy dokumenty. Najważniejszym z nich były *articuli Henriciani*, czyli artykuły henrykowskie (które potem musiał zatwierdzać każdy następny król), bardzo istotne dla ustroju państwowego postanowienia. Mówiły one, że król nie może zabiegać o przekazanie tronu potomkom, ba! nawet na ożenek musi mieć zgodę sejmu, w sprawie wojny lub pokoju potrzebuje zgody senatorów, a zwołanie pospolitego ruszenia i podatki są zależne od woli posłów. Miał też obowiązek zwoływać sejm co dwa lata i zapewnić w kraju pokój religijny przez zaprzysiężenie postanowień konfederacji warszawskiej, czyli zrównanie w prawach wszystkich wyznań chrześcijańskich. W razie złamania tych artykułów, szlachta mogła wypowiedzieć królowi posłuszeństwo. Tym sposobem do polskiego panującego zaczęło jak ulał pasować angielskie powiedzenie: Król panuje, a nie rządzi. Zaczynała się era szlacheckiej „złotej wolności”.

W imieniu przyszłego króla biskup Montluc ochoczo podpisał nie tylko artykuły henrykowskie, ale i szczegółowe zobowiązania dodatkowe, czyli *pacta conventa* (w przyszłości inne dla każdego króla). Zabrakło w paktach zalecenia, by Henryk poślubił podstarzałą Annę Jagiellonkę, dlatego wykrecał się z tego potem jak mógł.

Polacy w ogóle wyobrażali sobie nowego króla jako dobrego wujka albo pocziwego św. Mikołaja, który przyjedzie z zagranicy objuczony prezentami i bogaty jak nabab, po czym będzie szastał pieniędzmi na prawo i lewo, na wszystkie potrzeby państwa wykładając z własnej kieszeni, nie wtrącając się przy tym do niczego i wszystkie ważne sprawy pozostawiając w gestii sejmu.

Na dodatek, żeby Francuz nie myślał sobie, że ograniczenia obowiązują go tylko w Polsce, przedstawiono mu trzeci dokument – *postulata polonica*. Żądano w nich, by we Francji natychmiast ustały właśnie religijne i by protestantom zapewniono swobodę wyznania. Widać z tego dowodnie, że Polacy wzięli sobie do serca misję cywilizacyjną i postanowili zanieść kaganek tolerancji religijnej na zdziczały pod tym względem Zachód.

JAK HENRYK WYRUSZYŁ DO NOWEJ OJCZYZNY

Tymczasem wieść o obiorze na króla polskiego zastała Henryka pod murami najpotężniejszej twierdzy hugenockiej, Roszelli. Znów odznaczynszy się męstwem, był już bliski zdobycia warowni, ale w nowej sytuacji musiał